

RENE BURES.

Zil=X...

161) Odmaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Ale ten człowiek?

— Cicho!

Domyśliłem się, bo widzieć już było trudno, że ukląkł przy ciebie ajenta. Pochylony nad nim badał go, wsłuchiwał się w bicie serca. W końcu powstał i rzekł zmienionym głosem.

— Nie żyje! Zresztą widziałem kierunek kuli. Wpadła prosto w oko.

Ciężkie milczenie otoczyło nas.

— Co robimy teraz? — zapytałem w końcu silą otrząsając się z wrażenia.

— Jedźmy dalej!

— Ale ten nieszcześliwy...

— To trup już tylko. Nie mogę mu już nic więcej uczynić.

Sirzali w ciemności umilkli. Nie widać już nawet było błysku małej latarki strażnika baryery.

— Uciekajmy — szepnął Dalton. — Będziemy ich tu mieć za chwilę na karku.

Szofer natychmiast puścił w ruch maszynę. Dalton ostrożnie przeciągnął zwłoki numeru 53 na brzeg drogi. Wskoczyłem do auta, po chwili Dalton był przy mnie. Automobil ruszył całym pędem.

Przez kilkanaście minut mknęliśmy w milczeniu otoczeni coraz głębszą nocą. W końcu uświadczym, że skręcamy na prawo, maszyna zwalniać zaczęła, i po chwili stanęła.

Dalton wyskoczył ja zaś wychylony przez drzwiczki nadsluchiwałem.

Żaden odgłos nie dochodził do nas. Tylko przed nami w znacznej jeszcze odległości siedł pomruk grzmotu. Szła ku nam burza, jedna z tych nagłych, gwałtownych burz letnich, która nas mogła zagarnąć za minut parę.

Za nami jednak cisza, ani światełka, ani odgłosu żadnego.

— Zaświeć! — rozkazał Dalton szoferowi — i jedźmy dalej. Tylko prędko!

Szofer zaświecił elektryczne lampy. Olbrzymie promienie białego światła zaalały pola przed nami ciągnąc się aż ku horyzontowi.

Droga ta była cięższa od tej, którą przebyliśmy dotąd.

Duże, ciepłe krople deszczu spadać zaczęły.

Usiadłem obok starego Damblease, który pozostał spokojny i zimny pośród tych wydarzeń i jechaliśmy dalej, coraz szybszym biegiem, po jasno oświetlonej drodze.

Teraz już deszcz lał całymi strugami. Burza przechodziła tuż ponad naszymi głowami. Pioruny były raz po raz wokół nas.

Automobil pruł z wściekłością olbrzymie kałuże wody zagradzając drogę, podskakując niekiedy na nierównościach gruntu.

— Śliczny czas na złodziejską wyprawę — wyrzekł Dalton, potrząsając głową.

— Czy prędko będziemy na miejscu? — zapytał stary Damblease.

— Zdaje się, że już przybywamy.

Maszyna zwalniała.

Skręciła teraz na wąską drogę wysadzoną z obydwu stron drzewami.

Przy blasku jasnej błyskawicy dojrzałem rzeczkie płynącą wzdłuż drogi, a na przeciwległym brzegu wieżę kościoła odrzynającego się na ciemnym tle nieba.

Automobil zatrzymał się.

Szofer zagaszył latarnie i znowu ciemność otoczyła nas, przerywana tylko od czasu do czasu ostrym blaskiem błyskawic.

— Wstrętne błyskawice! — syknął przez zęby Dalton. Co kilkanaście minut robi się jasno jak w dzień. Ha! co robić! Cofać się już nie możemy. Czyście gotowi?

— Rozkazuj! — odpowiedziałem.

— A więc posłuchaj. Zaczekamy tu parę minut, aby się przekonać czy przyjazd nasz nie był zauważony. Pawilon, zamieszkały przez kapitana, znajduje się, jak sobie pewnie przypominasz, w głębi ogrodu, odosobniony. Ale ogród ten, jest otoczony innymi ogrodami i willami, zamieszkałymi przez mieszkańców Boy. Ale co najważniejsze — pomiędzy tymi mieszkańcami znajdują się może przyjaciele kapitana de Limandoux.

— A więc to Boy, to zbiorowisko domów, które widać po tamtej stronie rzeki?

— Tak. Znajdujemy się od nich w odległo-

ści sześciu lub ośmiuset metrów. Z tej strony nie potrzebujemy się obawiać.

— Masz jakiś plan działania?

— Nie.

— A więc.

— Trzeba przede wszystkim przedostać się przez ten mur, co będzie dosyć łatwym, a potem działać będziemy stosownie do okoliczności.

— Jedźmy?

— Poczekaj jeszcze chwilę. Numer 42! Masz narzędzia potrzebne?

— Oto są, panie Dalton — odpowiedział ajent, wyciągając z pod ławeczki przedmiot w którym rozpoznałem pałasz i olbrzymie rękawice, misternie odrutowane.

— Boże Wielki! — krzyknął stary Damblease, wstrząsając się. Cóż to jest!

— To na psa — odparł Dalton.

— Na psa?

— Willa jest strzeżona, tak, jak za życia kapitana, przez ogrodnika i jego żonę, którzy mieszkają na parterze z dwojgiem dzieci. Ale ci ludzie mają psa dla obrony. Jak słyszałem ten ples nie jest wcale łagodnym.

— Zamierza go pan zabić tym przyrządem? — zapytał Damblease.

— Muszę niestety tak uczynić.

— A jak szczekać będzie?

Szczekać będzie z pewnością. Lecz jest to jeszcze mniej niebezpieczne niż wyszłał rewolwerowy, któryby zbudził czujność całego sąsiedztwa.

— Zauważ tylko wybór mojej broni — zaśmiał się z pewną przechwałką mój przyjaciel. — Wybrałem stary pałasz, który bez żadnego niebezpieczeństwa pozostawić możemy na miejscu, w razie nagłej ucieczki.

— Cóż zatem mam robić? — zapytałem.

— Iść za mną i być posłusznym moim wskazówkom.

— A ja! — zapytał Damblease.

— Pan zaś — odrzekł Dalton pozostanie tutaj i czekać na nas będzie.

— Nigdy! — zawołał stary doktor prostując się groźnie.

— Co pan mówi! — rzucił spokojnie Dalton.

— Mówię, że chyba nie po to mnie tu pan przywiózł, abym siedział bezczynnie w automobiliu. Na to się nie zgodzę.

— Nie mam czasu ani ochoty na rozmowy kochany panie — uśmiechnął się ironicznie Dalton. — Przyzna pan, że i chwila nie bardzo stosowna do tego. Pozostawiając pana tutaj, mam w tem swój cel, a zresztą pan nie jest wstanie towarzyszyć nam.

— Dlaczego?

— Do takiej wyprawy potrzebne są siły.

— Mam je!

— Będziemy przesłakiwać mury!

— Będę je przesłakiwał przy pomocy panów!

— Będzie pan musiał biec razem z nami w razie potrzeby.

— Będę biegł, jeżeli to będzie koniecznym.

— Może pan nam nie nadażyć, zagubić się.

— Jeżeli panowie uznacie za potrzebne, to możecie mnie zostawić na drodze. Proszę się nie lękać. Umie milczeć i panów nie zdradzę.

— Niechże więc tak będzie, jak pan chce! zgodził się Dalton. Ale teraz w drogę! bo czas! Mówiąc to — wyciągnął z auta płaszcz nieprzemakalny i rękawice gumowe, które nam kazal nałożyć.

— No jesteście gotowi. Policja może szukać naszych śladów.

— Te płaszcze i rękawice uchronią nas potem przed wilgocią — odezwał się stary Damblease.

— A więc naprzód! Masz sznury! — zawołał Dalton — zwracając się do ajenta.

— Tak, panie Dalton — odpowiedział numer 42.

Wysunęliśmy się jeden za drugim, Dalton na czele pochodu, numer 42 na końcu.

Szliśmy powoli ścieżką rozmiękną od deszczu, pełną wybojów i kałuż, chluszczących pod naszymi stopami. Ktoś w pewnej chwili zamruczał z niezadowolaniem.

— Cicho tam — szepnął rozkazując Dalton. Ścieżka biegła zwężając się coraz więcej. Spozstrzegłem wkrótce, że po lewej mojej stronie ciągnął się mur wysoki.

Dalton szedł teraz wzdłuż tego muru. My za nim starając się czynić jak najmniej szmeru. Nagle Dalton zatrzymał się.

— Zbliście się wszyscy do mnie — szepnął.

— Obstąpiliśmy go wszyscy wokół.

— Słuchajcie — mówił dalej Dalton. — Tu

w tem miejscu znajduje się furka prowadząca do tylnej części ogrodu. Brama główna znajduje się naprzeciwko, pawilon zaś stoi w równej prawej odległości od tych obydwu wejść, bliżej jednak trochę tej furki. Ty, numer 42 wydrapiesz się na ten mur i siedzieć tam będziesz spokojnie. My zaś, okraźmy ten mur aż do pierwszego załamania i także czekać będziemy.

Wówczas ty, numer 42 zadzwonisz, to jest pociągniesz tym łańcuszkiem, do którego z tamtej strony przytwierdzony jest dzwonek. To będzie wystarczające przypuszczenie, aby obudzić czujność psa, który znajduje się w ogrodzie. Gdy nadbiegnie staraj się go zabić jak najszybciej. Dziwię się, że nie wyczuł nas dotąd. Przede wszystkim bądź ostrożnym. Ta cisza niepokoi mnie trochę. Spodziewam się zupełnie czegoś innego. Co do nas, jak tylko tylko usłyszymy dźwięk dzwonka, przeskoczmy przez mur do parku i działać będziemy stosownie do okoliczności. Zrozumiane?

— Zrozumiane! — odpowiedzieliśmy jednocześnie.

Wówczas Dalton odparł się silnie o drewnianą furkę nadstawiając plecy numerowi 42, który z łatwością wdrapał się po nich na brzeg muru. W ciemnej nocy, sylwetka jego odcinała się czas jakiś ciemniejszą plamą — w końcu zginęła mi z oczu.

Dalton nadsluchiwał.

— Chodźmy! — szepnął po chwili.

Zaczęliśmy iść ostrożnie wzdłuż muru. Żaden szmer nie miał ciszy. Szelest kroków naszych ginał w miękkiej wysokiej trawie. Doszliśmy tak do jednego końca ogrodu, gdzie mur załamywał się nagle. Ujrzelśmy pole zasadzone drzewami, a dalej ciemną jakąś masę, domek i niewielki las.

Teraz musieliśmy przebyć rów pełen wody. Deszcz padał ciagle. Pomimo nieprzemakalnego płaszcza dreszcze mną wstrząsały. Pomyślałem z litością o tym biednym starcu, który upierał się nam towarzyszyć i narażał się na różne niebezpieczeństwa tej nocnej, niepewnej wyprawy.

Dalton wkrótce zatrzymał się znowu.

— Nadsluchujmy — rzekł.

— Nadsluchiwaliśmy wszyscy, przejęci ważnością chwili. Minęła minuta, dwie, pięć może...

— To trwa za długo — oświadczył Dalton.

— Nie słyszeliśmy może.

— Ale musieliśmy usłyszeć psa.

W tej samej chwili ciemny jakiś przedmiot przesunął się koło mojej twarzy i uderzył prosto w twarz Daltona.

Z piersi jego wydarł się jęk stłumiony.

— Jesteś ranny? — szepnąłem chwytając go za ramię.

— Cicho bądź! Padnijcie wszyscy na ziemię! — odpowiedział. — Cios ten mnie tylko ogłuszył.

— Ale nie jesteś ranny?

— Ehl to drobiazg. Ale czemu ja u diabła ugodzony zostałem! Kamieniem może!

Pochylił się i wkrótce namacał rękami przedmiot.

— To cegła! A to coś ciekawego! Ktoś to bawi się w rzucanie cegieł w tej godzinie i tem miejscu.

Odgłos drugiego upadającego na trawę ciężkiego przedmiotu wyjaśnił zagadkę.

— Ah! do kroćset — zaśmiał się Dalton. — Numer 42 daje znać o sobie. Poczciwy chłopak! Nie bardzo szczęśliwą ma rękę. Tem gorzej dla niego, jeżeli i moja ręka nie będzie lżejsza.

— Czy jesteś pewnym, że się nie mylisz? — zapytałem.

— Musimy przecież coś zaryzykować i postawić na ostatnią stawkę.

Wziął cegłę i przerzucił przez mur.

Cichy gwizd odpowiedział mam z tamtej strony.

— Doskonale — szepnął Dalton. — Możemy przejść.

— A pies?

— Pies musiał zostać zabity bez hałasu — lub też nie był wypuszczony do parku. Nie lubię jednak tych ułatwień nadzwyczajnych, które nam podaje. No dalej przechodźmy przez mur.

Podstawiłem plecy, aby Dalton skoczył pierwszy. On jednakże w ostatniej chwili jeszcze zwrócił się do starego Damblease i rzekł przekuwającym głosem:

— Panie Damblease, jeszcze czas! Niech pan porzuci myśl towarzyszenia nam!

— Mam pana obietnicę — odparł sucho stary Damblease.

(Ciąg dalszy nastąpi).